

## Biuro podróży

Jestem biurem podróży dla umarłych,  
organizuję im przeloty do snów żywych.  
Zgłaszają się do mnie sławne osobistości, jak Heraklit,  
żeby odwiedzić zakochanego w nim pisarza,  
ale i zmarli nie znani szerzej—jak pewien gospodarz ze wsi Wasiły  
pragnący doradzić żonie w sprawie hodowli królików.  
Czasem wielopokoleniowa rodzina czarteruje samolot  
i ląduje na czole ostatniego potomka.  
Mam też do czynienia z zabitymi  
którzy, kursując regularnie do snów ocalałych,  
zbierają punkty w programie frequent flyer.  
Nikom nie odmawiam swoich usług.  
Wynajduję jak najlepsze połączenia  
i wyrzucam sobie, kiedy młody chłopak,  
żeby dostać się do snu swojej dziewczyny,  
musi lecieć z przesiadką w śnie chrapiącej baby.  
Albo gdy warunki pogodowe powodują awaryjne lądowanie  
i umarły dzwoni: zrób coś,  
utkwilem w śnie przerażonego dziecka!  
Takie wypadki to stres i wyzwanie  
dla mnie, małego biura o dużych ambicjach—  
bo chociaż nie mam wstępu ani do świata zmarłych,  
ani do cudzych snów,  
dzięki mnie się spotykają.

## Kontrabanda

Pani Kubicka, która w młodości,  
gdy zobaczyła na niebie samolot,  
rzuciła kosę i kryła się w zbożu,  
leci pierwszy raz do córki w Ameryce.  
Córka właśnie wychodzi za męż.  
Za nicponia, sarka pani Kubicka.  
Pod ubraniem przemyca dla niej  
swoją wydobytą ze skrzyni suknię ślubną.  
Owinęła się nią w pasie jak bandażem.  
Wie: jak znajdą, to odbiorą,  
całe życie odbierali wszystko.  
Idzie do kontroli bezpieczeństwa.  
Każą jej zdjąć kilka wierzchnich warstw.  
Pani Kubicka drżącymi palcami  
rozsupłuje chustę, rozpina guziki.  
Przechodzi przez bramkę, pikanie, a może  
to jej serce, jeżdżą po niej obce ręce  
i huczy jej w skroniach. Ktoś coś mówi,  
powtarza. Że już. Jest już wolna.  
Dopiero wtedy czuje, ile waży  
ta suknia. I jak drapie w gołe ciało.

Pani Kubicka siedzi w samolocie.  
Widzi w oknie malejące łaty pól.

## Imiona

Lato, sezon arbużów.  
I twoja o nich opowieść:  
dzieciństwo, dom opieki  
dla nieuleczalnie chorych,  
białe kornety szarytek  
żeglujące w ogrodzie.  
Twój dziadek, dyrektor domu,  
hodował arbuzy w inspektach.  
Przychodziły tam siostry  
zaklepać sobie owoce  
—jeszcze niedojrzałe  
na pępownach łodyg—  
i każda pisała  
starannymi literami  
na wybranym arbuzie swoje imię.  
Miały tu coś własnego,  
czego zazdrośnie strzegły.  
Arbuzy rosły, a z nimi  
na zielono-pasiastej skórcie  
imiona, coraz większe.  
Jakby się oderwały  
od mniszek pielęgniarek,  
noszone przez nie skromnie jak habity,  
i żyły drugim życiem  
soczystych owoców,  
rozpychających się wśród liści.

## Nasz język

Kiedy mówisz *czy mogę jeszcze*  
*pospać, bo mam w sobie bryłę snu*  
*i ona musi się roztopić*  
*jak lód na wiosnę,*

kiedy narzekam na zastój w pisaniu,  
a ty radzisz *cierpliwości! ucz się jej ode mnie,*  
na co ja, że to tak jakby się uczyć  
wegetarianizmu od kota,

kiedy wspominamy naszą całonocną  
jazdę w wietnamskie góry wytrząsaczem wspomnień,

albo jak w jednej z europejskich stolic  
rozglądaliśmy się gwałtownie  
za podwórkiem moczoddajnym,

kiedy spotykamy się w pół drogi  
między moją a twoją sekluzją  
i ruszamy na obchód dzielnicy, a w oknach  
stare kobiety opierają łokcie  
na poduszkach obserwacyjnych,

chcę wtedy wciągnąć nasz język na listę  
zagrożonych języków mniejszości,

bo zna go tylko dwoje ludzi  
i trudno go ochronić,  
a równocześnie na listę najmocniejszych,  
bo jak na razie chroni nas.

## Rzeźby dla niewidomych

W muzeum sztuki, gdzie rządzi wzrok,  
rzeźby dla niewidomych.  
Te same, do których widzący  
nie mogą podchodzić zbyt blisko:  
stopa wysunięta za czerwoną linię,  
wścibianie nosa w pustkę  
po antycznym nosie—i alarm.  
Wolno tylko patrzeć, aż się zmienisz  
w kamienne gałki oczne na szypułkach  
wydłubane z marmurowej greckiej głowy.  
Ślepi oglądają je palcami.  
Dotykają szramy  
na brzuchu cykladzkiej dziewczyny,  
walki smoków na odwrocie  
koreańskiego lustra.  
Co powstało tysiąc lat przed naszą erą,  
lepią na nowo, mówią: kubek, dzban  
i napełniają winem.  
Uwolnione z gablot sznury paciorków-monet  
stukają im w rękach o zyskach i stratach.  
O szemranych transakcjach. Kołatka  
oddaje im swój ciężar,  
przypomina sobie drzwi.

Spróbuj je otworzyć po omacku—

## Szary i rudy

W środku miasta, na skraju osiedla.  
Gdzie asfaltową ścieżką idzie chłopak z psem,  
a na ławce staruszka wyjmuje kefir z siatki.  
Nad nimi one. Mieszkają blisko siebie,  
ale w osobnych dziuplach. Nawet nie mrugną  
na kłębiące się wokół kawki i wrony.

Jednego długo szukam wzrokiem.  
Jest szary, w kolorze kory dębu, o, to on—  
szczelnie wypełnia sobą owalną wnękę,  
równocześnie ukryty i widoczny.  
Nie przeszkadza mu, że słyszy stąd ulicę,  
szum tramwajów, i że ma gniazdo tuż pod blokiem.  
Posągowy jak bożek w ołtarzowej niszy  
albo portret przodka w medalionie.  
A na dębie obok, zobacz, drugi: rudy płomień  
przycupnął na kikucie po ściętym konarze.

To on i ona. Nie znieśliby sąsiedztwa,  
gdyby nie byli parą. Krążymy pod drzewami:  
puchate głowy, dotąd nieruchome,  
obracają się lekko i spod pierzastych brwi  
śledzą nas zmrużone ciemne oczy.  
Rudy i szary, cisza i dźwięk, ogień i popiół.  
W dzień każde sennie czuwa, czujnie śni  
z ostrzem dzioba wtulonym w miękopióry pancierz.  
Dopiero nocą w naszym śnie zrywają się do lotu.

## Geniza

Jak nie dość biegły skryba, który zrobił błąd  
przy kreśleniu na pergaminie świętych liter,  
tak ja potykałam się, uparcie pisząc  
swoją pierwszą pieśń nad pieśniami.  
Czułam, że jej nie przyjmie  
ten, komu ją dedykuję.

Gdy skryba się pomyli,  
pergamini nie wolno wyrzucić.  
Trafia do genizy—przechowalni pism  
zbyt kulawych, żeby z nich korzystać,  
lecz zawierających imię Boga.

Geniza w synagodze bywa niepozorną skrzynką  
lub obszernym pokojem.  
Ta, którą mam w sobie, czasami jest niewielka,  
czasami ogromna,  
zamknięte są w niej niespełnione piosenki.

Jak się do nich dostać? Jak się z nimi rozstać?  
Zniszczonym pergaminom, gdy schowek jest już pełny,  
wyprawia się uroczysty pogrzeb.  
Albo gromadzą się i leżą zapomniane  
i dopiero badacz—podróżnik  
odkrywa genizę po wiekach.

Gdyby można tak otworzyć własną—  
jak ktoś obcy, kto przychodzi z daleka.



\* \* \*

Nie umiem mówić *my*, chyba że *my*  
to myślnik między *ja* i *ty*,  
który przewodzi iskrę, a czasami  
jest przeciąganiem liny.

Nie umiem pisać *my*, chyba że *my*  
to nawias dla nas dwojga, pokój, w którym śpimy,  
z którego próbujemy wypędzić szerszenia.

Chyba że *my* to czworo naszych oczu:  
śledzą, jak szerszeń chrobocze w kloszu lampy,  
brązowy, w złote pręgi, zobacz, jaki piękny.

Nie umiem wpisać się w *my* większe  
niż brzęczące, skrzydłami rysowane kręgi  
wokół ciebie i mnie, które się przenikają  
i rosna od nas, wędrują coraz dalej.

## Hebrajski

Język, w którym pytanie  
*skąd jesteś* brzmi tak samo  
jak *czy jesteś*  
z *nicości*.

W którym *rzeczownik* to *szem ecem*,  
co znaczy *imię kości*.

Który przekleństwa wziął sobie z Biblii,  
a że mu było mało, pożyczył z arabskiego,  
jak pożyczca się sól od sąsiadki,  
a że mu ciągle było mało, podwędził to i owo  
od imigrantów z Niemiec, Polski, Rosji.

Język objęty w swoim kraju  
przymusową służbą wojskową:  
ognisty wóz proroka Eliasza, *merkarwa*,  
stał się czołgiem i zamiast do nieba  
ruszył na tę sąsiadkę od soli.

Język poety, który napisał wiersz o deszczu  
na polu bitwy, padającym na twarze  
przyjaciół—żywych i umarłych.

Język, w którym zdarzyło się to, co próbują  
oddać przekłady: Bóg stworzył niebo i ziemię.

Który najpiękniej nazwał zamęt i bezład: *tohu wa-tohu*.  
Którego pismo płynie pod prąd  
pisma w moim języku,  
ćwicz mi rękę w innych początkach i końcach.

Lekcja. Zbiorowy coming out:  
dlaczego się uczyliśmy hebrajskiego.  
Hania ma męża Izraelczyka.  
Ja—przez wiersze Jehudy Amichaja.  
Zosia—bo w rodzinie pół na pół chrześcijanie i Żydzi.  
Robert mieszkał cztery lata w Tel Awiwie,  
sprzedawał chałwę i chasydzkie kapelusze, stare łodzie  
przerabiał na rybackie kutry dla kibuców.

Gorący, szorstki język.  
Zanim zaczęliśmy go rozumieć,  
wylizywał nas jak ślepe kocięta.

## Dwie rzeźby

Byłam jak ta chuda na rydwaniu.  
Zaprzężonym prawie w nic—w jaskółkę.  
Trzymałam lejce, widzialne tylko dla mnie.

I nagle je puściłam. Jak tamci z innej rzeźby,  
tych dwoje w pocałunku, staliśmy się jednym:  
złączone skrzydła drzwi w domu bez ścian.

Ale chuda wróciła i znów we mnie powozi.  
Wchodzi między nas jej ostry cień,  
przynosi piach, przeciąg i burze.

Boję się, że przez nią ciebie stracę.  
Mówi mi, że bez niej nie mogę ciebie mieć.  
I pokazuje tnące powietrze skrzydła jaskółki.

## Rodzeństwo

Stara kobieta tańczy flamenco.  
W jej wysiłku tli się dawna lekkość.  
Jest wysoka, chuda jak zgarbiona czapla,  
ma falbaniastą spódnicę, zapadnięte policzki.  
Stara kobieta tańczy młodą,  
która zginęła w czasie wojny.  
Po występie zmywa makijaż, zdejmuje perukę  
i suknię, wkłada spodnie, marynarkę  
i staje się tym, kim jest poza sceną:  
mężczyzną, bratem zabitej.  
Stary mężczyzna wraca do domu.  
Uwił go sobie ze strzępów przeszłości,  
fotografii, afiszów i wycinków z gazet.  
Wśród nich wszędzie suknie, które sam haftuje:  
wielobarwne egzotyczne ptaki.  
I portret siostry—stawia przy nim kwiaty.  
Przed wojną jeździli po całej Europie,  
słynny duet nastoletnich tancerzy.  
Później getto, ucieczka, rozdzielenie.  
Wytłumaczył sobie, że jeżeli przeżył,  
to jedynie żeby wcielać się w nią w tańcu.  
Stary tancerz zaparza herbatę.  
Cisza. Pora wygaszonych świateł.  
Za chwilę pójdzie spać, lecz przedtem, tak jak stał,  
bez kostiumu i pudru, stepuje w progu kuchni  
w rytm kościanego stukotu kastanietów.

## Ścieżki dźwiękowe

### I.

W krajach, gdzie dubbinguje się zagraniczne filmy,  
światowa gwiazda i jej lokalny głos,  
zawsze ten sam, tworzą symbiozę  
do końca życia gwiazdy albo głosu.  
Co dzieje się, kiedy umiera gwiazda?  
Głos traci twarz i wraca z ekranu na ziemię?  
Bez pracy, nieswój w swoim pierwotnym ciele,  
w którym mówi się zgodnie z ruchem warg?  
A gdy umiera głos? Znajdują nowy,  
tak podobny, że prawie nie słysząc różnicy?  
Ale słysząc spoza ścieżki dźwiękowej  
obcy język, którego nie da się wyciszyć.

### 2.

Nagrane *u-hu... u-huhuhuu...* puszczyka  
wabi puszczyka z krwi i kości.  
Wywabia go z lasu, skrzydlatą plamę cienia,  
kocio bezszelestną na jasnym jeszcze niebie,  
szybującą niespokojnie wte i wewte.  
Oszukany, szuka czegoś, czego nie ma,  
żebyśmy przez chwilę mieli jak na dłoni  
jego ptasie *jest*.

3.

Bezdźwięczne  
przełożone na dźwięk.  
Detektory wychwyciły drganie  
fal grawitacyjnych jako *ćwierk*.  
Spadające na siebie czarne dziury  
tak ćwierknęły, stapiając się w jedną;  
zaśpiewały jak ptaki. Nie, nie wtedy,  
kiedy nie było ptaków, uszu ani *kiedy*,  
tylko po wiekach wieków, setki megaparseków  
stamtąd. Tam—zderzenie. Eksplozja bez świadków.  
Nowy wspólny horyzont dla niczyich oczu.  
Ćwierk zabity miliardowi lat świetlnych.  
Bezdźwięcznie. Przełożony na ćwierk  
sygnał prazdarzenia dotarł właśnie teraz  
w dopiero co otwarte dla niego ramiona.  
I otwiera je szerzej. Dla?